

WhiteHouse feat. DonGuralEsko, POECI - Mochr

Mochnacki jak trup blady siadł przy klawikordzie
I z wolna jął próbować akord po akordzie.
Już ściany pełnej sali w żółtym toną blasku,
A tam w kącie kirasjer w wyłaczanym kasku,
A tu bliżej woń perfum, dam strojonych sznury,
A wyżej na galerii - milcz serce! - mundury.
Tylko jeden krok mały od sali go dzieli,
Krok jeden przez wgłębienie dla miejskiej kapeli -
On wie, okop hardy w tej przepaści rośnie,
Więc skrył się za okopem i zagra o wiośnie.

Rozpędził blade palce świergotem w wiolinie,
I mały, smutny strumień spod ręki mu płynie.
Raz w raz rosa po białej pryska klawiaturze,
I raz po raz w wiolinie kwitną polne róże.
Rosną. Większe, smutniejsze, pełniejsze czerwienią,
Coraz niżej i niżej, uschną, w bas się zmieniają!
Nie. Równo, równo rosną w jakiś smutny taniec.
Rozdrganą klawiaturę przebłagał wygnaniec,
I nagle się rozplakał po klawiszach sztajer,
Aż poszedł szmer po sali, sali biedermeier.
Głupio, sennie, bezmyślnie kręci się i kręci.
Myśli straszne wyrzuca z pamięci,
Do piersi jakąś białą przytulił pierś drżąca
I czuje tuż przy piersi nieznośne gorąco,
I tysiąc światel w oczach, w czyjejs twarzy dołki,
I zapach białej sukni, ubranej w fijołki., ubranej w fijołki.

Magle złoty kirasjer poruszył się w kącie,
Sto myśli, jak kanonier, stanęło przy łoncie,
Stu spojrzeń obcej sali przeszły go miecze,
Idzie wstyd ku estradzie - czuje, jak go piecze.
Więc do basu ucieka i tępo weń tłucze,
Po tym tańcu szalonym niech ręce przepłucze,
Z tych czerwonych, duszących róż otrząsa płatki,
Rozsypuje po sali w tysięczne zagadki,
W sto znaków zapytania, sto szmerów niechęci,
Nie pyta. Już jest w basie, tam się wyświęci.
Raz, dwa, trzy, cztery - wali. Niechaj mu otworzą,
Niechaj wyjdą z chorągwią, wyjdą z Matką Bożą,
Niech końskie kopyta mu przelecają po twarzy
I niechaj go postawią gdziekolwiek na straży:
Na ulicy stać będzie z karabinem w dłoni...

...Słyszysz sala: ktoś idzie, ostrogami dzwoni -

Ostrogą spiał melodię, a akompaniament
Szaleje, krzyczy w basie, rośnie w straszny zamęt -
Ku sali bagnetami już mierzy, już blisko -
I ton jeden uparcie wybija - nazwisko!
Wciąż czyste, w rozszalałe wplątuje się głosy
I wali, wali w basie murem Saragossy,
Oszalałych Hiszpanów wyciem, darciem, jękiem
I znów wraca ku górze załzawionym dźwiękiem -
W mazurze - nie - w mazurku idą wszystkie pary,
By całą klawiaturę owinąć w sztandary.
Zatrzymali się wszyscy w srebrzystych kontuszach,
A klawikord im ducha rozplómienia w duszach
I wzdłuż długich szeregów przewija pas lity,
Tysiąc głów podgolonych podnosi w błękity
I wszystkie karabele jedną ujął dłonią
I uderzył w instrument tą piekielna bronią.
Aż struna się ugięła, ta w górze, płacziwa.
I cisza jest w wiolinie. Cisza przeraźliwa.

Po martwej, głupiej strunie, po fijołków woni,
Po czyichś smutnych oczach, jakieś białej dłoni.
Jakichś światłach po nocy i szeptach w komorze,
Po księżycu, po gwiazdach - mój Boże! mój Boże! -
Gdzieś się gubi i zwija, przeciera pas lity,
Po księżycu, po gwiazdach, po Rzeczpospolitej.
Po sali idzie cisza przeraźliwa, blada
I obok tęgich boszów w pierwszym rzędzie siada.
Wzrok wlepia martwy, ślepy, w jakiś punkt na ścianie
I patrzy w Mochnackiego, kiedy grać przestanie, kiedy grać przestanie.

A on, blady jak ściana, płacze, zrywa tony
I kolor spod klawiszy wypruwa - czerwony,
Aż wreszcie wstał i z hukiem rzucił czarne wieko
I spojrział - taką straszną, otwartą powieką,
Aż spazm ryknął, strach podły i z miejsc się porwali:
"Citoyens! Uciekać! Krew pachnie w tej sali!"
Krew pachnie w tej Sali [x3]